

# Bruno i Juna, narzeczeni w Drohobyczu

Nie byłoby tej opowieści, gdyby Józefina Szelińska nie odpowiedziała na ogłoszenie zamieszczone w 1948 r. w „Przekroju” przez Jerzego Ficowskiego.

Przyszły biograf Schulza prosił w nim o kontakt osoby, które wiedzą cokolwiek o losach drohobyckiego pisarza.

DARIUSZ NOWACKI



Naręczona  
Schulza. Apokryf  
AGATA TUSZYŃSKA

Wydawnictwo Literackie  
Kraków

Wywiązała się korespondencja podtrzymywana przez blisko pół wieku. Ową kolekcję listów udostępniła zaś autorce „Naręczonej Schulza” wdowa po Ficowskim; zbiór stał się podstawą faktograficzną książki Agaty Tuszyńskiej.

Historia niespełnionego małżeństwa dwojga prowincjonalnych nauczycieli zaczyna się pod koniec 1932 r. Jesteśmy w Drohobyczu, on uczy rysunku i robótek ręcznych w gimnazjum dla chłopców, ona jest panią od polskiego w szkole żeńskiej. Jej zaczyna zaglądać w oczy widmo staropanieństwa, on, mały brzydka, lubi takie kobiety - wysokie, dobrze zbudowane i wysportowane. Nie mówiąc o tym, że i o poezji Rilkego czytanej w oryginale można z nią pogadać.

Zaczynają się spotykać. 40-letni podówczas mężczyzna jest na progu kariery literackiej, ponadto zawzięcie rysuje i maluje, a zakochana kobieta widzi w nim geniusza. Nie przeszkadza jej nawet to, że ukochany jest stałym klientem

drohobyckich lupanarów i ma osobliwe upodobania seksualne (dziś oznaczylibyśmy je literkami BDSM). Mijają kolejne lata, a on nie potrafi się zdecydować na stały związek; zwodzi ją obietnicami, że „znormalnieje” („zwykła rodzina, zwykły seks”). Wreszcie kobieta ma dość - zrywają ze sobą. Mamy rok 1937.

Pięć lat później on ginie od esesmańskiej kuli, ona zaś do końca swoich dni (umiera w 1991 r.) obsesyjnie rozpamiętuje kilkuletnie narzeczeństwo, gromadząc wszelkie, najmniejsze nawet wzmianki o ukochanym; swoje mieszkanie przerobi na prywatne muzeum jemu poświęcone. Jemu, czyli Brunonowi Schulzowi.

Jak się można domyślać, Tuszyńską zafascynowała postawa Szelińskiej, która wprawdzie opowiedziała Ficowskiemu o swoim pięcioletnim związku z Schulzem, ale jednocześnie zastrzegła anonimowość. W nielicznych ocalałych listach pisarza, zgodnie z jej życzeniem, występuje jako J (...). Ficow-

ski był przekonany, że zakaz ujawniania roli Szelińskiej w życiu Schulza wziął się z okupacyjnej traumy: Juna, jak ją nazywał naręczony, ukrywała się w czasie wojny, a w 1968 r. padła ofiarą nagonki antysemitki. Nie chciała, by jej nazwisko było łączone w jakimkolwiek kontakcie z tematem żydowskim. Po prostu się bała.

Zarazem jednak wpadała w szal, ilekroć czytała w opracowaniach, pojawiających się coraz liczniej po 1956 r., o roli innych kobiet w życiu autora „Sanatorium pod Klepsydrą”. Np. wtedy, gdy ktoś nazwał nie ją, lecz Deborahę Vogel „Muzą Brunona” albo twierdził, że Schulz zadebiutował dzięki protekcji Zofii Nalkowskiej. Posłuchajmy: „Na czym właściwie polegała ta mityczna pomoc przy wydaniu »Sklepow«... Za druk zapłacił przecież Izidor Schulz [brat pisarza]. To co ona zrobiła? Organizowała wiece poparcia? Namówiła do publikacji właścicieli Roju? To by znaczyło - co? Że nie wiedzieli, co wydają? Jaką perłę mają



„Na spacerze” - rysunek Schulza powstały w 1933 r., czyli krótko po nawiązaniu znajomości z Józefiną Szelińską

na biurku? I tylko jacyś wpływowi inni muszą ich przekonywać?”. Tak naprawdę Junę dręczyła inna kwestia: czy jej mężczyzna w najlepszym okresie ich narzeczeństwa poszedł do łóżka z autorką „Granicy”. Po przestudiowaniu „Dzienników” Nalkowskiej dochodzi do wniosku, że owszem, choć tylko raz...

Swoją robotę Tuszyńska nazwała „grą pamięci i wyobraźni”. To, co należy do tego drugiego porządku, jest w tej książce najciekawsze. Po stronie pamięci mamy wszak powszechnie znaną biografię Schulza, w sferze fantazji natomiast znalazły się myśli, uczynki, a przede wszystkim uczucia Juny. Autorka „Naręczonej...” chce zrozumieć swoją bohaterkę; może najbardziej jako kobietę, która „wybrała los cienia”. Dajmy na to, dlaczego bez szemrania zgodziła się, żeby jej przekład „Procesu” Kafki Schulz podpisał własnym nazwiskiem. Jak sobie radziła, przyglądając się rysunkom z „Xięgi bałwochwalczej”, na których jej naręczony „skurczony, goły, żebrze jak robał o łaskę rozkraczonych na łóżku albo fotelu dziwki”? Raz twierdziła z obrzydzeniem, że to „jakiś obłęd, choroby popis”, ale już za chwilę perswadowała sobie: „Meandryczność duszy jest przywilejem artystów, a wyrozumiałość jedynym kluczem do dzielenia z nimi życia”. I pytanie być może najważniejsze: czy Schulz zasługiwał na to, żeby się z jego powodu zabić (po ostatecznym rozstaniu Juna podejmie próbę samobójczą)? Schizofrenicznie usposobiona Szelińska tyleż irytuje, co wymusza empatię. Mimo że bohaterka Tuszyńskiej jest kobietą wykształconą (doktorat z literaturoznawstwa), obdarzoną dobrym smakiem, na swój sposób światową nawet, tęsknoty ma istic pensjonarskie. Egzaltacji nigdy się nie wyzbędzie.

I tu odsłania się podstawowy problem, jaki mam z tą książką. Jakie jest źródło emocjonalnego kiczu, którym jest przesycona? Czy pochodzi on od autorki, czy też jest nieusuwalnym składnikiem kreacji? Nie potrafię rozstrzygnąć. Niemniej robotę rekonstrukcyjną, nie mówiąc o „grze wyobraźni”, doceniam. ●